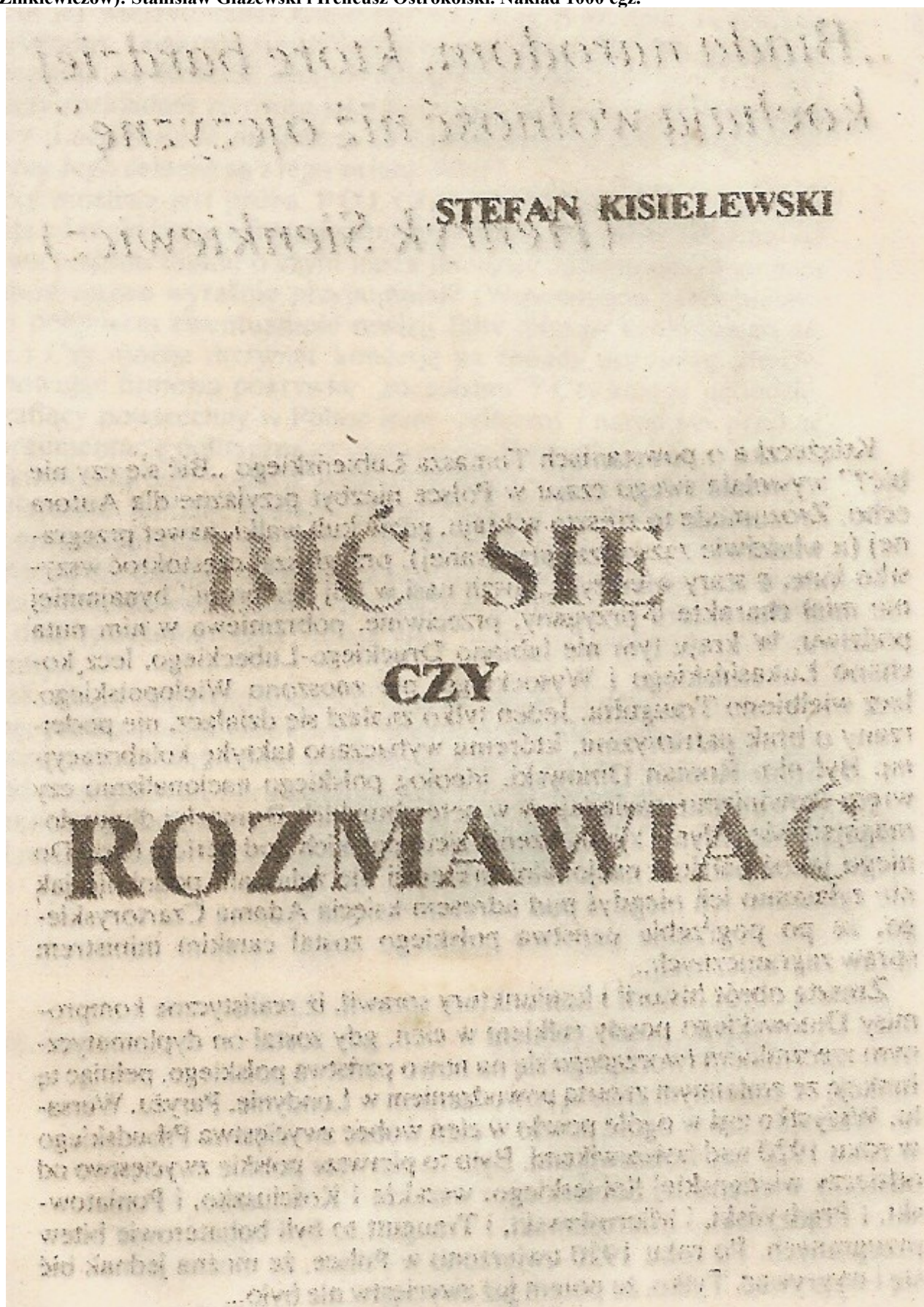


Załącznik 14. Pierwsza, zaledwie 6-stronicowa, mało czytelna, broszura Stefana Kisielewskiego „Bić się czy rozmawiać”, wydana przez „Familie” (zakamuflowaną pod nazwą „Oficyna w suterenie”) w formacie A-6 w grudniu 1982 r. Obróbka fotograficzna i matryce Bogdan Szewczyk, druk (w mieszkaniu Jadwigi i Leonarda Zinkiewiczów): Stanisław Głazewski i Ireneusz Ostrokólski. Nakład 1000 egz.



*„Biada narodom, które bardziej
kochają wolność niż ojczyznę”.*

(Henryk Sienkiewicz)

Książeczka o powstaniach Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?” wywołała swego czasu w Polsce niezbyt przyjazne dla Autora echo. Zrozumiałe to zresztą w kraju, gdzie kult walki, nawet przegranej (a właściwie zazwyczaj przegranej), przygłuszał częstokroć wszystko inne, a stary wierszyk „poszli nasi w bój bez broni” bynajmniej nie miał charakteru przygany, przeciwnie, pobrzmiewa w nim nuta podziwu. W kraju tym nie lubiano Druckiego-Lubeckiego, lecz kochano Łukasińskiego i Wysockiego, nie znoszono Wielopolskiego, lecz wielbiono Traugutta. Jeden tylko znalazł się działacz, nie podejrzany o brak patriotyzmu, któremu wybaczano taktykę kolaboracyjną. Był nim Roman Dmowski, ideolog polskiego nacjonalizmu czy wręcz szowinizmu, zasiadający w petersburskich Dumach i długo domagający się jedynie zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara. Do niego jakoś patrioci nacjonalni pretensji nie zgłaszali, podobnie jak nie zgłaszano ich niegdyś pod adresem księcia Adama Czartoryskiego, że po pogrzebie państwa polskiego został carskim ministrem spraw zagranicznych...

Zresztą obrót historii i koniunktury sprawił, iż realistyczne kompromisy Dmowskiego poszły całkiem w cień, gdy został on dyplomatycznym rzecznikiem tworzącego się na nowo państwa polskiego, pełniąc tę funkcję ze zmiennym zresztą powodzeniem w Londynie, Paryżu, Wersalu. Wszystko zaś w ogóle poszło w cień wobec zwycięstwa Piłsudskiego w roku 1920 nad bolszewikami. Było to pierwsze polskie zwycięstwo od odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego: wszakże i Kościuszko, i Poniatowski, i Prądzyński, i Mierosławski, i Traugutt to byli bohaterowie bitew przegranych. Po roku 1920 uwierzono w Polsce, że można jednak bić się i wygrywać. Tylko, że potem już zwycięstw nie było...

Józef Beck zdołał w ostatniej chwili powiązać sprawę polską z wybuchem II wojny światowej – tyle, że ostateczne skutki znów okazały się dla nas tragiczne: Polska przelała morze krwi, w rezultacie zaś utraciła swe historyczne, „jagiellońskie” ziemie wschodnie i swą zaledwie 20 lat trwającą suwerenność. Przyszła na zmienionym terytorium „Polska Ludowa”, o której mam zresztą zamiar napisać jeszcze coś większego, będzie to próba rozproszenia osnuwającej jej dzieje mgły niepoinformowania, panującej zarówno w kraju, jak na emigracji.

I oto, paradoksalnie, w zupełnie odmiennej sytuacji historycznej, zadziwiająco bezbłędnie powtórzył się stary schemat powstańczy, aktualizując znowu pytanie Łubieńskiego: bić się czy...? Mówiąc skrótami, nasi znów poszli w bój bez broni, zapominając zarówno o sile wschodniego hegemonu, jak i o jego politycznej przebiegłości, sądząc, że uda się robić rachunek bez pojałtańskiego gospodarza (nawet nas starych, pesymistów i geopolityków, przez chwilę skusili obrazem odrodzenia demokracji, kultury, swobodnej polityki, publicystyki, prawdomówności, tego wszystkiego, czego nie mieliśmy lat 35). Klęska przyszła nagle a błyskawicznie, zaś pomysł posłużenia się socjalistyczną „juntą wojskową” jest w swoim rodzaju znakomity: pozwała on Rosjanom, w warunkach kompletnego rozkładu komunistycznego systemu rządów, jaki u nas nastąpił, rozprawić się zarówno z buntem społeczeństwa, jak z dysydentami i odszczepieńcami w szczątkach własnej partii, jak i wreszcie z ekipą Gierka, która dyletantyzmem i bezmyślnością przygotowała całą klapę. W dodatku można tłumaczyć światu, że to jest wewnętrzny polski pucz general-ski, w razie niepowodzenia zaś zwalić wszystko na Jaruzelskiego i odciąć się od niego. Zaiste, wielcy szachiści wymyślili tę sprawę!

Zachód oczywiście nie ruszył się, ograniczając swą reakcję do symbolicznych, nieskutecznych sankcji, do propagandowych okrzyków świętego oburzenia, wreszcie do filantropijnej pomocy materialnej. Że Zachód nie ruszy się w epoce atomowej, dającej z natury rzeczy przewagę państwu autokratycznie-totalnemu nad krajami demokratycznymi – to było jasne. Przy okazji jednak doszło do kompromitującego i niebezpiecznego obnażenia demokratycznej niejedności wolnego świata. Rozdwojenie na neutralizującą się i „finlandyzującą” zachodnią Europę oraz skazaną na prowadzenie światowej, mocarstwowej polityki Amerykę zademonstrowano w całej krasie. Przy okazji przypomnę własny felieton „Moje proroctwo” (*Kultura*, Paryż, listopad 1977), gdzie dokładnie przedstawiłem dalekosiężne, na dziesiątki lat być może rozłożone działania polityki rosyjskiej, mającej na celu wbicie klina pomiędzy interesy i taktykę Stanów Zjednoczonych a interesy i trwogę krajów Europy Zachodniej. Cierpliwa ta akcja trwa i ma sukcesy – dowodów nie brak.

I jeszcze kompromitująco dziecinna była toczona tu i ówdzie dyskusja, czy zamach Jaruzelskiego jest formą zewnętrznej interwencji czy też sprawa wewnętrznie polską. Czyż naprawdę ktoś na Zachodzie wierzy w to, że w krajach Paktu Warszawskiego można używać armii „prywatnie” bez zgody rosyjskiego dowództwa, bez logistycznego i amunicyjnego wsparcia sowieckiego?! Wolne żarty!

Po staremu więc zostaliśmy sam na sam z Wielkim Bratem. Co dalej robić?

W paryskim *Le Matin* ukazał się artykuł anonimowego eksperta „Solidarności”, który twierdzi, że pozostająca w podziemnych działaniach młodzież związkowa rozpocznie powstańczą walkę w stylu *desperados* i nie przerwie jej aż do „całkowitego uwolnienia Polski”. Czyli, że sami pokonać mamy Związek Radziecki – coś w rodzaju Powstania Styczniowego. Mój Boże!

I znowu stare rachunki. Przez Powstanie Listopadowe straciliśmy Królestwo Kongresowe – jedyną wówczas możliwą formę naszego bytu państwowego, jak m.in. uważał... Kościuszko. W rewolucji 1846 utraciliśmy symboliczną i zabawną, ale ostatnią namiastkę suwerenności, którą była... Rzeczpospolita Krakowska. W roku 1863 utraciliśmy resztki polskiej władzy i autonomii, wykrwawiliśmy najlepszą młodzież, paralizując na długie dziesięciolecia narodową aktywność. I oto dzisiaj ktoś nam znowu proponuje podobną procedurę. Czyż naprawdę z tego narodowego fatum nie znajdzie się już wyjścia?!

Niewątpliwie jest jednakże, że, jeśli tzw. „stan wojenny” będzie się w Polsce przedłużał, to przed zdesperowaną, przebudzoną w latach 1978-81 patriotyczną polską młodzieżą nie zarysuje się inne wyjście niż straceńczy, powstańczy zryw. Bowiem przedłużający się „stan wojenny” grozi Polsce śmiertelnymi niebezpieczeństwami i katastrofą: rzekome lekarstwo może się tu okazać groźniejsze od samej choroby. Nie chodzi już nawet o sparalizowanie wszystkich dziedzin duchowego i umysłowego życia narodu, realizowane przez wyeliminowanie najlepszych i oddanie myślącej czy piszącej Polski w pacht gromadzie służalców, fałszerzy, kłamców i obtudników. Chodzi o ogólną katastrofę gospodarczo-cywilizacyjną.

Kryzys pogłębia się i musi pogłębiać: doświadczeni historią Huty „Katowice”, Portu Północnego czy Lubelskiego Zagłębia Węglowego, ludzie stracili motywację do pracy i nie odzyskują jej, choćby nawet tu i ówdzie wojsko zmusiło górników do większego wydobycia węgla. Polska od dawna dojrzała do zasadniczej reformy, której jednak nie da się dokonać bez udziału społeczeństwa, bez zmiany atmosfery politycznej, zadekretować bez współpracy fachowców, ekonomistów różnych kierunków, dziś wyłączonych z działania lub zamkniętych po obozach. Przedłużający się „stan wojenny” zdeorganizuje

zuje życie gospodarcze ostatecznie, zerwie resztki nici kooperacyjnych i informacyjnych, uniemożliwi jakiegokolwiek skuteczne i planowe działanie ekonomiczne, a likwidując ruch związkowy i budząc powszechną nienawiść przekreśli możliwość współpracy z wszelkimi pluralnymi warstwami społeczeństwa. Wynikiem? Niedza, dezorganizacja i coraz bardziej dyletancki chaos w zarządzaniu, w rezultacie niż cywilizacyjny, do którego, co groźne, zobojętniałe, zrozrynowane społeczeństwo może **PRYZYZWYCZAĆ SIĘ**. Jedyne wtedy prawdopodobne odruchy społeczne to rzeczywiste głodowe, desperackie bunty lub ucieczka najzdolniejszych grup młodzieży za granicę. Zbieramy tu skutki długotrwałego sabotowania przez aparat partyjno-urzędniczy reform gospodarczych, dawno już proponowanych przez DiP i przeróżne, pozbawione egzekutywy politycznej grupy ekonomistów. Zbieramy też, przyznajmy prawdę, rezultaty długiej indolencji „Solidarności” w tej dziedzinie: związkowcy nie kwapili się do przejęcia odpowiedzialności gospodarczej (pisałem o tym ciągle!), upojeni swobodą polityczną i zaabsorbowani swymi wewnętrznymi wyborami. Tymczasem całe życie gospodarczo-społeczne, pozostawione w rękach skompromitowanego aparatu, rozmontowało się, przygotowane zresztą pilnie do tej katastrofy przez 10-letnie czady Gierka oraz absurdalne kredyty zagraniczne. I teraz jest już za późno na jakiegokolwiek wyjście połowiczne czy konformistyczne, jak polski „husakizm” czy „kadaryzm”, o czym śnią na pewno ludzie w rządzie. Powrót do „małej stabilizacji” możliwy był na Węgrzech czy w Czechosłowacji, niewielkich krajach o strukturze drobnotowarowej, nie zaś w obciążonej deficytowymi inwestycjami i głodnej, obwieszanej olbrzymimi długami Polsce. Tutaj są dwa wyjścia: albo katastrofa na długie lata, albo powrót do idei zasadniczej reformy ustroju, możliwej dziś tylko przy przywróceniu politycznego pluralizmu i atmosfery zaufania.

Czy prawdopodobne jest, aby komus zależało na stworzeniu w środku Europy, na kluczowym jej, tranzytowym skrzyżowaniu, pustyni gospodarczej i politycznej na długie lata? Jeśli tak, jeśli ktokolwiek powziął taką ideę „ukarania” Polski, to oczywiście nie ma o czym mówić i pozostaje tylko droga powstaneza. Jeśli jednak, co jest prawdopodobniejsze, Wschodni Aliant chciałby mieć w Polsce jakiś porządek, możliwy do zaakceptowania przez społeczeństwo, tylko nie wie jak to zrobić – trzeba mu doradzić. Skoro nie chcemy (czy, jak mówią niektórzy, nie możemy) go **POKONAĆ**, trzeba go **PRZEKONAĆ**.

Od lat pieszczą się nadzieja, że któraś z rządu kremlowska ekipa zrozumie wreszcie, iż system marksowsko-leninowski nie jest dla Pol-

ski odpowiedni, a utrzymywanie go siłą nie czyni z Polski na dłuższą metę dobrego alianta. Znam tysiąc argumentów przeciw tej nadziei, oponenti moi stwierdzają chórem, że marksizm-leninizm jest, po zniknięciu caratu, jedynym magicznym zaklęciem, które długo będzie Kremlowi niezbędne, zarówno dla utrzymania sytuacji wewnętrznej, jak i dla prowadzenia polityki światowej. Można by na to odpowiedzieć, że pod oficjalną pokrywką marksizmu zawierać się mogą różne treści społeczno-polityczne: inna wszakże jest sytuacja na Węgrzech, a inna np. w Mongolii, nie mówiąc już o słynnej z przyjaznej neutralności kapitalistycznej wszakże Finlandii. Poza tym na przestrzeni ostatnich lat 35 Rosjanie sporo rzeczy w Polsce-strawili i zrozumieli: że np. nie można tu i nie należy niszczyć Kościoła katolickiego, że błędem była przymusowa kolektywizacja rolnictwa, że inteligencja polska musi mieć pewne autonomiczne prawa i swobody etc. W październiku 1956, gdy ekipa Chruszczowa zjechała do Warszawy, a oddziały sowieckie maszerowały już ku stolicy, Gomułce udało się przekonać Rosjan, że nie należy i nie trzeba robić z Warszawy Budapesztu. Podobnie w grudniu 1970 Rosjanie zrozumieli, i to szybko, że trzeba zgodzić się na natychmiastową likwidację grupy Gomułki. Wreszcie obecne zezwolenie na aresztowanie wszechwładnej przez 10 lat ekipy Gierka jest pośrednim przyznaniem się do błędności systemu, w którym dyletancka elita władzy może być tak długo niekontrolowana i nieusuwalna. Przypomina to likwidację Rakoczy'ego na Węgrzech, którego to faktu konsekwencją stał się po latach odgórny reformizm, tyle, że realizowany nie przez zbuntowanego Nagy'ego lecz przez konformistycznie prosowieckiego Kadara.

Tak więc, można jeszcze Rosjanom to lub owo wytłumaczyć, pytanie tylko, KTO ma to robić. Przez długie lata jedynym pośrednikiem między Polską a Kremlm była Partia, a raczej jej ściśle kierownictwo. Dziś jednakże partia uległa rozmontowaniu i straciła wszelką wiarygodność, symbolem może tu być aresztowanie Wałęsy i zniknięcie Jagielskiego, dwóch ludzi, którzy podpisywali w 1980 umowy gdańskie. A więc wszelkie umowy są nieważne, a wszelkie podpisy – nieprawomocne, polska partia jako partner przestała się dla Rosji i dla naszego społeczeństwa liczyć. Przez długi czas zarówno „Solidarność” jak i niezależne kręgi polityczne w Polsce pozostawiały monopol na rozmowy z Kremlm wąskiej górze partyjnej. Był to olbrzymi błąd, na co wskazywałem wielokrotnie w *Tygodniku Powszechnym*, *Res Publica* i *Kulturze*, często zresztą za to atakowany jako utopista czy fantasta. Błąd ten zemścił się srodze: przebudzone społeczeństwo działało w ciemno, nie wiedząc, gdzie są granice rosyjskiej wytrzymałości, zaś wtajemniczeni nieliczni przywódcy Partii milczeli w strachu o własną skórę. I oto przyszło tragiczne zaskoczenie.

Dziś chyba wszyscy pojęli, że wobec rozmontowania Partii i cofnięcia jej wiarytelności konieczny jest inny pośrednik, oczywiście wiarygodny i cieszący się społecznym zaufaniem. Roli tej siłą rzeczy podejmuje się Kościół, symbol polskości niezależnej, przy tym nie-
tknięty rozkładem zarówno jako instytucja jak i jako autorytet narodowy. Lecz Kościół nie jest w końcu organizacją polityczną i ostatecznie Jego cele nie są z tego świata. Więc?

Czy możliwa jest próba **POLITYCZNEGO** dogadania się z Rosją na innej bazie niż marksizm-leninizm, skoro już znajdujemy się we wschodnim bloku, o czym nasza młodzież zapomniała, a co nam Zachód znowu wyraźnie przypomniał? (Wspomniana przez niektórych półgłosem ewentualność rewizji Jałty niczego konkretnego nie daje.) Czy można otrzymać koncesję na zmiany ustrojowe, choćby zachowując firmową pokrywkę „socjalizmu”? Czy znajdują się ludzie, potrafiący powszechny w Polsce bunt społeczny i narodowy przekuć na argumentację polityczną zrozumiałą dla Rosjan?

Usiłowania tego rodzaju widziałem między innymi w znakomitej publicystyce Stefana Bratkowskiego i Józefa Kuśmierka, obu przy tym przyznających się do takiego czy innego „socjalizmu”. (Ta harwa ochronną nie możemy wylegitymować się ani ja, ani moi przyjaciele w rodzaju Stanisława Stommy.) Ale los obu wymienionych publicystów jest dziś symptomatyczny: tułają się i ukrywają, niepewni dnia ani godziny...

Tak, długo na pewno poczekać nam przyjdzie na nową, wiarygodną ekipę, zdolną podjąć rozmowy z Hegemonem. Ale, niepoprawny wyznawca tezy, że w polityce wszystko jest możliwe i że wolny, pluralny naród musi grać „na paru fortepianach”, uważałem za stosowne przypomnieć i o tym fortepianie. Choćby symbolicznie, choćby nieprędko miał rozebrzmieć... Lub wcale.

Paryż, luty 1982

STEFAN KISIELEWSKI

cena 10 zł

oficyna w suterenie